ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | Niedziela 22 lipca 1934 r. | Nr. 30

Wincenty Pol

Powódź w Tatrach

Wincenty Pol, poeta-geograf, wśród swoich pism prozą pozostawił również barwy opis „naremnicy", jaka go zaskoczyła na Podhalu w czasie odbywania letniej wycieczki górskiej. Podhale z lat 60-tych ubiegłego stulecia, dzikie, gęsto zalesione pustkowie górskie, z rzadkiemi osadami pasterskiemi, oto tło tej powodzi tatrzańskiej, poprzedniczki współczesnej nam katastrofy, może spowodu właśnie przetrzebienia tych puszcz groźniejszej. Przedrukowujemy tekst według „Dzieł", Lwów 1876, t. IV, str. 31—39.

CHMURY OD WĘGIER

Odwieczne Tatrów strażnice śniegowe
Zdawnaście znane, a wiecznieście [nowe;
Choć myśl i oko przy was się upaja,
Myśl i źrenica wiecznie tutaj gością.
Z wami przenigdy myśl się nie [oswaja,
Jak nie oswoi się nigdy z wiecz- [nością;
Bo nie wziąć myślą, co oko zakreśli,
Ani wziąść okiem, co ogarną myśli,
Ani was ująć, ni duchem wyświecić,
Ni w was się wcielić, ni nad was [wylecić;
Tu hardość ducha mierzy się z naturą,
I rozegrana — bo nikomu górą...

Było to w Tatrach, i słońce chyliło się już nad turnie. Dzień był gorący i niemiła parota zawisła burzą nad Tatrami.

Od kilku dni napywały chmury od Węgier, południowym wiatrem niesione, i przedarlszy się przez szczyty turni, zawisły na reglach, nie mogąc się ani ochłodzić, ani wylać deszczem. Nawet noce nie orzeźwiały powietrza i jakaś ociężałość pętała członki i myśli...

W JASZCZURÓWCE

Przed wieczorem doszliśmy do Jaszczurówki, położonej na samem podnóżu reglów, w ciemnym ostępie starego świerkowego lasu pomiędzy skałami.

Dziwnie to ponure miejsce, a przy dniu, w burzę ciężarnym i parnie zachmurzonym, wydało się ono jeszcze więcej ponurem.

Jaszczurówka jest to przestrzeń kilkudziesięciu sążni kwadratowych, gdzie z płytkiego niby jeziorka, zawalonego wielkiemi bryłami skał, dobywa się źródło ciepłe. Jaskier i rzeżucha wodna porasta tu bujnemi kępami, a odłamy skał pokryły się skorupami mchu i liszajców różnego koloru. Roślinność ta bowiem nie zamiera tu i w zimie, ale ciepłem źródła podsycana, trzyma się świeżo. Nawet wówczas, gdy zwaliste śniegi okryją całe podnóże Tatrów, nawet wówczas zielenią się te jaskry i rzeżuchy pomiędzy skałami, jak oaza na białych piaskach pustyni, a parne mgły wznoszą się z tego jeziorka, które się nigdy nie pokrywa lodem.

Znaną jest mityczna powieść o salamandrze, że w ogniu nie ginie. Otóż nad tą powieścią zadumany, przypatrywałem się długo całemu gniazdu salamandr, które się w Jaszczurówce gnieżdżą.

Nieraz przypatrywałem się naszej pospolitej jaszczurce całemi godzinami. Cóż to za ruch żywy! Cóż to za zwinność i obrotność! Cóż to za prześliczne te oczka maleńkie, czarne, tylko do ócz gazeli i arabskiego konia podobne! Cóż to za swoboda obrotów tego krokodyla w miniaturze! Ale nic brzydszego nie znam, jak salamandra. Jest to tłusta, ciężka, niezgrabna jaszczurka, czarną śliską skórą powleczona, nakrapiana pomarańczowemi płatkami: łeb okrągławy i tłusty; nóżki krótkie jak u kreta, bowiem wykręcone; oczy mają wyraz głupiego płazu, tępe i zamglone; ruchy powolne, leniwe, niezgrabne, obrzydliwe nawet.

Na głazach Jaszczurówki wychylają się one z wody i leżą po całych godzinach bez ruchu, a kiedy je nocny szron tam zaskoczy, tężeją od zimna i zamierają niby.

Coś dziwnie mistycznego, ale i niemiłego zarazem ma widok tej jaszczurówki i gniazdo odwieczne tych salamandr, które tam w każdym czasie i w każdej porze roku znaleźć można w wielkiej liczbie.

BĘDZIE PSOTA...

Dnia tego, o którym mowa, spostrzegłem, że salamandry pełzły od Jaszczurówki we wszystkich promieniach ku powyższym skałom, opuszczając gniazdo swoje. Od strony skał nie można było obejść Jaszczurówki, w obawie, aby co krok nie stąpić na salamandrę. Zastanowiło mnie to bardzo i pytałem górala, coby to znaczyło.

— Będzie psota, panie, i to długa. Od Węgier nagnało ciepłych chmur, że od paroty oddychać trudno, a kiedy te jaszczury pełzną ku skałom, to znać się boją powodzi, boją się, żeby ich woda nie zabrała z sobą, bo będzie psota i psota wielka, ale nie zaraz jeszcze. Jaszczury czują najwcześniej słotę, bo to temu nie sporo, to kilka dni lezie, zanim się do bezpiecznej skały dostanie, gdzie się już wody bieżącej nie boi.

Niekoniecznie chciałem wierzyć temu, i jeszcze dnia tego pojechałem do Kościelisk na nocleg do leśniczówki, w myśli wycieczki nazajutrz na Pyszną. Towarzysz podróży czekał już na mnie w Kościeliskiej dolinie i już poczynił w leśniczówce przygotowania do kilkodniowej podróży w turnie.

Mieliśmy tą razą zwiedzić Starą-Robotę, Ornak, Pyszną, Smereczyny i przez Przełęcz Tomaniarską przeprawić się do Węgier.

Jakoż nazajutrz wybraliśmy się już niebardzo rano, bo mgły wielkie leżały w Kościeliskiej dolinie. Gdy się mgły nieco podniosły, ruszyliśmy niepewni, czy nie powrócimy na obiad napowrót do leśniczówki. Nasi przewodnicy nie wróżyli bowiem pogody i ociągali się bardzo i z wybraniem się w drogę, i w drodze.

Uderzało mnie to, czegom dawniej nigdy nie spostrzegł, że co chwila podrywały się pstrągi w potokach i, mignąwszy srebrną błyskawicą, przerzucały się przez kamienie wielkiemi rzutami w górę pod wodę. Gdy się to raz i drugi i dziesiąty powtórzyło, stanęli nasi przewodnicy i powiadają nam:

— Myśleliśmy, że obegnamy przed słotą na Pyszną, ale nic z tego nie będzie, bo nie dojdziemy nawet do Starej - Roboty. Będzie psota, kiedy pstrąg tak idzie w górę i tak się bardzo niepokoi; będą wody naremne i wracać potrzeba. Ale żeby z próżnemi nie wracać rękoma, to sobie tu na szałasie pożyczym konewki, a nabierzem pstrągów po drodze, bo aż się same proszą.

Wracając z szałasu, jeden z przewodników podbiegł na wysoką skałę i szukał widocznie czegoś między roślinami, a wróciwszy powiada nam:

— Tuligłówka trwoży się na słotę, trzeba uciekać do domu.

I pokazał nam zwój wielkiej rośliny, która się wije i pnie po skałach, a przed słotą okręca się mocniej i przymruża kwiaty: ztąd też jest u górali t u l i g ł ó w k ą nazwana (Atragena alpina).

— My nałapiem coś pstrągów, a panowie idźcie przodem. [illegible] rzeczy. W turniach już deszcz leje i mokre chmury walą się doliną.

Górale rozróżniają mokre i suche chmury, a dostawszy się między mokre chmury, można tak zmoknąć między niemi, choć deszczu niema, jak gdyby deszcz padał.

SZUMI DUNAJEC

Tym razem wszakże wylały się wszystkie chmury deszczem, potoki poczęły przybierać, i gdyśmy na leśniczówkę wrócili, szumiał już gwałtownie Dunajec spieniony...

Dobra to sprawa przy pstrągach i kominku, kiedy taka słota w turniach, bo nic wyborniejszego, jak ogień w Tatrach, do którego rad człowiek ucieka, gdy słota, i nic wyborniejszego nad świeżego pstrąga, posolonego tylko i pieczonego na żarze.

Zabawiliśmy się z góralami i z rodziną leśniczego, jak można było najlepiej; ale deszcz nie ustawał, a od wieczora nadciągnęła letnia burza z piorunami i błyskawicami, które były tak gwałtowne, że nikomu nawet na myśl nie przyszło ułożyć się do snu.

Gdy po krótkiej nocy odniało (bo było to w początkach lipca), nie ustawała burza, lecz posunęła się tylko nieco ku wschodowi, a deszcz ulewny zdawał się wolnieć na chwilę.

Wyglądaliśmy przez okna, jak czyścowe dusze, wyczekując polepszenia losu, ale daremnie.

— On nie ustaje, on tylko wypoczywa sobie, mówili przewodnicy, będzie naremnica. Jeżeli panowie nie macie myśli zabawić tu dni kilka, to tylko siadać, a jechać co siły, bo woda na potokach wzbiera i do wieczora przybędzie wody na Dunajcu, że go już nie zbrodzić.

NAREMNICA IDZIE!

Prawdę mówili górale, dobrze wróżyły salamandry, nie darmo trwożyły się pstrągi, nie darmo zamknęły się kwiaty tuligłówki przed burzą, bo na ostatnich brodach i potokach ledwo żeśmy już przebrnęli, siadając na konia, a nakładając kamieni do wózków, aby ich nie przewróciła i nie porwała woda.

Gdyśmy do Czarnego - Dunajca przybyli, zastaliśmy całą ludność na wysokim brzegu. Cała wieś wyległa w trwodze o bydło i trzody, będące na paszach za wodą, a woda rosła z każdą chwilą i strach był, żeby się nie potopił statek. Raźne parobczaki przeprawiały się na szczudłach przez rzekę i straszno było patrzeć, jak kroczyli wśród łomów kamieni i spienionych prądów, bo każdy krok pochybny groził tu śmiercią.

Parobcy ci przeprawiali się przez rzekę, by poratować pasterzy, którzy po drugim brzegu z bydłem i trzodami stali, a każdy z nich miał zapaśne szczudło, bo już i pasterze mogli się także tylko na szczudłach przeprawić napowrót do domu przez rzekę.

Bydło przepędzano tylko małemi częściami, owce takiemi stadkami, jak się razem pasły, a za każdym stadkiem kroczyło dwóch lub trzech parobków na szczudłach, kierując go żerdziami.

Brzeg, na którym ludzie stali, był wysoki: owce wyrywały się raźno z wody, ale bydło spadało z brzegu, który się obsuwał, i woda unosiła je coraz niżej.

Tu przyszło mi tedy podziwiać zręczność, przytomność i odwagę górali.

Silne tyki, zakończone ostremi widełkami, wkręcali w grzywę koni i w ogony bydła, a na rogi zarzucali po tyczkach siłki z lin i sznurów tak zręcznie, iż koń lub bydlę, niby w kleszcze chwycone, podnosiło się z wody i zaratowane siłą ludzką, wydobywało się na brzeg.

Nie mieliśmy zamiaru zostawać w Czarnym - Dunajcu, a słysząc, że się na długą słotę zanosi, chcieliśmy pośpieszyć do Szczawnicy, gdzie wielkie towarzystwo kąpielowe zebrane dawało nam nadzieję, że i w czasie słoty można będzie użyć towarzyskich przyjemności.

Wypadało tedy spieszyć. Przesiadłszy się na świeże wózki, pędziliśmy co wyskok po równym, bitym gościńcu, prowadzącym na Nowy - Targ do Czorsztyna.

Szum Dunajca dolatywał nas w ciągu całej tej podróży, bez względu prawie, czyśmy się od niego oddalali, czyśmy się zbliżali do niego.

Noc zapadła ciemna i deszcz sznurkowy puścił się ciurkiem. Tak nawalne deszcze nie są znane w kraju równym, ale tylko w przyalpejskich i przyzwrotnikowych krainach.

Nad ranem prawie stanęliśmy w Ostrowsku, przemokli do nitki, i dalej jechać nie było już sposobu.

DWUDNIOWA ULEWA

W Ostrowsku, w dużej gospodzie na głównym trakcie Nowotargskiej doliny, było już dużo ludzi zebranych przed świtem. Gospodarze naradzali się ze sobą, co robić na to i na owo, gdzie paść bydło w czasie powodzi, jakby jeszcze sprowadzić statek, który za wodą pozostał, gdzie upiąć zapaśne spławy drzewa leżące na brzegach, aby ich powódź nie zabrała, słowem, około wielkiej karczmy była cała wieś w ruchu, a wójt wraz ze starszymi z gromady wydawał rozkazy.

Wielkie ognisko gorzało na izbie przed piekarskim piecem, w którym pod chleb palono.

Przebrawszy się, grzaliśmy się przy tem ognisku, a dnieć poczynało na świecie.

Deszcz nie ustawał, lecz owszem zdawał się powiększać co chwila. Zlewa szumiała po dachu wielkiej karczmy i coraz nowe tworzyły się potoki po polach, po łąkach i drodze.

Dalej jechać nie było sposobu i górale nie radzili się ruszać z karczmy, mówiąc, że na potokach nie przejedziemy nawet do Krościenka, a cóż dopiero przez Dunajec do Szczawnicy.

Dwie doby tedy siedzieliśmy w karczmie w Ostrowsku, a deszcz nie ustawał ani na chwilę.

NAREMNE WODY

Był to dzień trzeci ulewnego deszczu i przed wieczorem przybyły n a r e m n e w o d y.

Dla przypatrzenia się całej okolicy w czasie powodzi, zajęliśmy na strychu dwa dymniki, z których się rozległy odkrywał widok na Tatry i znaczną część Nowotargskiej doliny.

Pod wieczór gromadziło się coraz więcej ludzi do karczmy, bo tylko murowany gościniec, który się w sposobie grobli wynosił ponad pola i łąki, służył jeszcze do komunikacji.

Szmaragdowa zieloność doliny, osnutej tysiącem mniejszych i większych potoków, które się z sobą łączyły tworząc małe jeziorka i których wody w różne strony przewał brały, była w wieczornej zorzy podobna do zielonej gazy, naszytej srebrną tkaniną. Wszystko zdawało się drżeć i pływać w tej srebrnej zieloności, a Dunajec szumiał tak straszliwie, że od tego szumu i drżenia ziemi trwożyli się ludzie i ryczało bydło...

Niezwykła jasność zaświeciła już samym wieczorem wązkim pasem nad Tatrami.

— Źle! — rzekli górale — to Węgierka tak świeci na słotę.

Kilka razy zdawało mi się w ciągu dnia, że poznaję mewy po locie, które się z wrzaskiem tłukły w powietrzu. Nie ufałem wszakże sobie; lecz kiedym górali zapytał, co to za ptaki, rzekli mi:

— To morskie ptactwo.

Na dziesięć dni, a nawet na dwa tygodnie przed naremną wodą, wzdłuż Wisły i Dunajca leci gromada mew, aż od wybrzeży morza Bałtyckiego i przybycie tych ptaków do Nowotargskiej doliny jest dla górali zapowiedzią n a r e m n i c y.

POWÓDŹ

Pod wieczór uważałem, że szum Dunajca zdawał się ustawać.

— To też to źle, panie, rzekli górale, bo woda ląduje i występuje z brzegów.

Zato powiększał się szum małych potoków, i te co jeszcze rano płynęły za spadkiem doliny, cofały się teraz wstecz i poczęły się rozlewać szeroko.

Nikt we wsi nie spał przez noc całą, ale większa część ludności oblegała podsienia, sienie i izby.

Po północy ozwał się jakiś krzyk przeraźliwy przed karczmą... Wypadliśmy na podsienie. W znacznem oddaleniu niosła woda cały dom drewniany: w dwóch oknach domu świeciło się jeszcze. Znać gdzieś z brzegu niespodzianie zabrała woda ten dom i niosła na zatratę...

Coś strasznego miał ten widok w sobie. Światło w oknach przyświecało czasami mocniej; strwożeni ludzie przyklękli na podsieniu i mówili pacierz.

Gdy się dzień zrobił, cała okolica była pod wodą. Dunajec, wsparty na wyłomie w Pieninach, nie mogąc ulać obfitości wód swoich, tworzył jeziora na większych zatokach doliny, a drzewa unoszone przez wodę krążyły do koła tych jezior, tworząc olbrzymie wiry, których prąd główny nie leżał pośrodku wód odlanych, ale przy brzegu.

Na jazach powyższych były widne przepyszne wodospady, od których silny szum dolatywał. Wody wydawały się na oko spokojne, lecz drżenie ziemi nie ustawało...

Czasem też powstawał oryginalny szum starcia okrąglaków granitowych w prądach Dunajca. Powódź zrywała dawne ławy granitowego odtoku, a odsypywała nowe.

Brzeg wysoki, wodami podbity, urywał się tu i owdzie co chwila: ziemia się trzęsła, gdy powódź obmywała brzegi i niosła ławy kamieńca....

— Wielkie szczęście — rzekł mój towarzysz podróży — żeśmy nie żyli na świecie, kiedy wody tworzyły doliny. Mówimy sobie tak od niechcenia o najnowszych formacjach napływowych, jak o czemś bardzo niewinnem, a mam to przekonanie, że człowiek nie zniósłby widoku pierwotnych wód świata, że nie przeżyłby widoku formacji jednego pagórka.

PŁYNĄCA WYSPA

Towarzysz mój leżał na posłaniu, kiedy to mówił, a ja, stojąc u okna, zapytałem go:

— A czyby zniósł widok płynącej wyspy?

— Co to jest płynąca wyspa? — zapytał mnie, zagłębiony w okropnościach, które się dziać musiały, gdy się kształtowała powierzchnia ziemi.

— Jest to taka wyspa, jaka teraz właśnie po Dunajcu płynie.

Zerwał się z posłania i poskoczył ku oknu.

W istocie był to prześliczny i osobliwy widok. Zielona jak ruta wyspa posuwała się powoli po wodach. Kilkadziesiąt gonnych świerków rosło na tej wyspie, a nadto były one jeszcze młodą świerczyną podszyte. Cały pokład ziemi, korzeniami związany, trzymał się silnie, jak gdyby wyspa na galerze płynęła; wolno posuwała się przodem, wierzchołki drzew drżały, ale żadne drzewo nie wychodziło z pionu.

Wtem stanęła nagle wyspa na jazie, kilka drzew poszło kłębem w przepaść, wyspa rozerwała się w kawałki i w jednej chwili poszły wszystkie drzewa w bryzgi i drzazgi, łamiąc się jedne o drugie. Niektóre z nich wbiły się szczytami w ruchomą ławę kamieńca, stercząc korzeniami w górę, inne na pował upadłe, sterczały w olbrzymich drzazgach i łomach na jazie zastrzęgłe, a jeszcze inne popłynęły Dunajcem.

NIEŁAD SPŁAWIONEGO ŚWIATA

Co chwila niosła coś woda: potopione bydlęta, trumny i kolebbi, drzewa zielone i kości mamutów, sprzęty domowe i odtok granitów, słowem, niosła żywe, umarłe i przedpotopowe.

I cóż to za potęga tych wód naremnych, kiedy z trzech różnych światów wybierają dla siebie zdobycze!

Górskie wody, jak nagle przybierać zwykły, tak też opadają nagle, ale widok Nowotarskiej doliny był niemiły na wybrzeżach Dunajca po opadnięciu wód.

Jakiś chaotyczny nieład spławionego świata, zasp namulistych, drzew i kamieni w styrm zwalonych, białym odtokiem granitu zawalone pola i łąki, uderzały niemiło, a ponad doliną hałasowały tylko mewy, objadając ości pstrągów i łososi, wyniesionych z potoków i rzek na mieliznę.

Czarne chmury owisły ciężko nad Tatrami i zakryły piękny ich widok, a z głębokich kotlin regli kurzyły się słupem białe dymy, odbijające przykro na tle czarnych lasów...

Dwa trzonowe zęby mamuta przyniosły nam dzieci, bo leżały na wierzchu niedalekiej zaspy, a dwie rozbite trumny, w których reszta kości leżała, pochowali ludzie na cmentarzu przy kościele.

Kiedyśmy po tym świeżo spławionym świetie spuścili się jak po potopie do Szczawnicy, zastaliśmy całe towarzystwo przerażone i zmęczone po przebytej słocie.

Dzień jeden był jeszcze mglisty i posępny, ale już dnia trzeciego zeszło lipcowe słońce i ozłociło szczyty Pienin tak uroczo, że wszyscy zapomnieli o niemiłem wrażeniu dni przebytych i czuli się ożywieni oddechem odświeżonego górskiego powietrza.

Powódź dokuczyła, a w towarzystwie, które się bawić pragnęło, chciano sobie powetować dnie stracone i zarządzono wycieczkę po Dunajcu na łódkach w Pieniny.

Janusz Kawecki

Serenada

Nie będziesz nigdy sama.
Przy tobie zawsze jestem:
— w kochanej dłoni twojej
tych paru kart szelestem

i cichem zamyśleniem
przy drżącem świetle lampy,
że szczęście — gdzieś — zakwita,
wyśnionej cudem hampy.

...I jestem zabłąkanem
w zmierzchu preludjum echem,
odgłosem czyichś kroków,
piosenką i uśmiechem.

Lecz kiedyś szepnij do mnie
jedynem słówkiem małem,
bo choć daleki będę,
przy tobie pozostałem

— i zawsze, zawsze, zawsze
w tej samotności jestem
piosenką i uśmiechem,
i białych kart szelestem.

Afred Jesionowski

Z Wielkopolski literackiej

Tyle najrozmaitszych pism poświęconych sztuce i literaturze rozpoczynało i szybko kończyło swój żywot. Jeszcze się czytelnik nie zorjentował w kierunku i ideologji pisma — a już przestało wychodzi. Taki krótki żywot miały liczne efemerydy prowincjonalne — ale i w stolicach często nie lepiej bywało. Dzielnie trzymają się pod tym względem ziemie zachodnie Polski. „Zaranie Śląskie" stało się najlepszym kwartalnikiem regjonalnym polskim o wysokim poziomie naukowym i literackim, bez przerwy wychodzi od trzech lat miesięcznik „Wici Wielkopolskie", a od kilku lat „Piast", dodatek tygodniowy do „Dziennika Kujawskiego".

Pisma te szerzą przez kulturę regjonu zamiłowanie do pracy naukowej, zachęcają młodych literatów na prowincji do wypowiadania się. Bardzo te pisma różne poziomem i aspiracjami, ale każde z nich dobrze spełnia w swym zakresie rolę krzewiciela kultury duchowej.

WICI WIELKOPOLSKIE

Pisma stołeczne „Wici" uporczywie znać nie chcą, zaledwie tu i ówdzie o nich jakaś wzmianka. Z tem serdeczniejszą wdzięcznością odnosimy się na prowincji do tych nielicznych pism, jak „ABC", które gościnnie otwierają swe łamy przejawom życia kulturalnego prowincji, które wykazują zainteresowanie dla rozwoju piśmiennictwa regjonalnego. Przecież w tem piśmiennictwie dużo tkwi cennych pierwiastków, myśl szczera i prosta, gorące umiłowanie ziemi, kult — dla tradycji, przykład wytrwałej, sumiennej, konsekwentnej pracy nad podniesieniem życia duchowego miast i miasteczek na prowincji. „Wici Wielkopolskie" poszczycić się mogące trzema pełnemi rocznikami, weszły w czwarty rok istnienia. Ukazanie się dwudziestego piątego numeru (obecnie już 30) uszło zupełnie uwadze szerszego ogółu.

Cicho, bez rozgłosu obchodzili ten skromny jubileusz czytelnicy i współpracownicy „Wici" — każdy dla siebie, każdy dumny, że ten polny kwiatek coraz pełniejszych nabiera barw, coraz intensywniejszego zapachu. „Wici" liczą obecnie pół setki współpracowników, wśród nich najczęściej zasilają pismo swemi artykułami Stanisław Czernik, Alfons Szyperski, Stanisław Helsztyński, Alfred Jesionowski, Bronisław Szczebrzyc — i oczywiście zapobiegliwy redaktor „Wici" — Marjana Tuwid.

Wśród ciekawszych artykułów ostatniego półrocza wymieńmy interesujące wspomnienia Helsztyńskiego „O zamierzonej, niedrukowanej książce St. Przybyszewskiego i J. Hulewicza", znakomity artykuł Czernika o „Dramacie kultury polskiej", w którym się autor rozprawia z naszym kultem dla obcych wzorów i obcych form, z brakiem oryginalności w polskiej twórczości. Ciekawa jest gawęda Marjana Turwida z Adamem Grzymałą - Siedleckim na temat „Więcej Polski". Nieznane dwa listy Kasprowicza publikuje Helsztyński w nr. 1. IV rocznika. Dużo nowych myśli i ciekawych spostrzeżeń z dziedziny teorji i praktyki regjonalistycznej zawierają „List" Witolda Noskowskiego, opiekuna literatury regjonalnej i jej promotora na ziemiach zachodnich Polski, oraz artykuł znakomitego znawcy pomorskiego regjonalizmu Dr. Kaczmarka. p. t. „Regjonalizm, jako czynnik wychowawczy". Autor niniejszego artykułu ogłosił w „Wiciach" obszerne omówienie twórczości poetyckiej Jana Sztandyngera, artykuły o Jerzym Marliczu, Romanie Wilkanowiczu i kowalu - literacie Franciszku Becińskim. Bardzo cennym działem „Wici" są listy z regjonów, oświetlające życie umysłowe i kulturalne rozmaitych zakątków Poznańskiego. „Wici" stoją ofiarnością Andrzeja Prądzyńskiego, wydawcy pisma, wnikliwością redaktora Turwida, bezinteresowną współpracą wszystkich współpracowników i miłością swych czytelników. Mocne to podstawy.

GEOGRAFJA TALENTÓW WIELKOPOLSKICH

Zainicjowana przez redakcję „Wici" Bibljoteka Wici wielkopolskich rozwija się równie pomyślnie, jak pismo samo. Ostatnio ukazały się dwa nowe tomiki tej bibljoteki: Alfonsa Szyperskiego: Geografja talentów wielkopolskich i Stanisława Czernika: Przyjaźń z ziemią.

Według określenia Szyperskiego jest „Geografja talentów wielkopolskich", obrazkiem kultury polskiej na wycinku przedewszystkiem humanistycznym w odbiciu nazwisk z ziemi wielkopolskiej, z poszczekólnem uwzględnieniem wieku XIX. Wielka naprawdę szkoda, że praca Szyperskiego nie objęła całokształtu udziału wielkopolan w tworzeniu kultury polskiej na różnych odcinkach, szczególnie na odcinku literatury pięknej, piśmiennictwa politycznego, publicystyki. Szkoda dalej, że autor ograniczył się jedynie do wymienienia nazwisk z komentarzem niezmiernie szczupłym. Nie mniej jest praca Szyperskiego na obranym odcinku dobrą bez zastrzeżeń, jest sumienna, możliwie dokładna — jest pierwszą próbą wyjścia ważnego zagadnienia udziału poszczególnych ziem polskich w tworzeniu polskiej kultury. Z pracy Szyperskiego wynika, że „najlepszemi wynikami może się Wielkopolska poszczycić na polu nauk filolog. - historycznych", przyczem w dziedzinie historji dużo pracowali duchowni. Poważnemi wynikami poszczycić się może Wielkopolska także w dziedzinie badań przyrodniczych. Na dalszym planie dopiero stoi twórczość literacka, bardziej obfita niż wartościowa.

Przebiegając celniejsze nazwiska twórców literackich, z żalem stwierdzić trzeba, że wielu z nich nie doczekało się właściwej oceny swej twórczości. Niema dotąd wyczerpującej monografji o Charszewskim poza ramowemi ujęciami, niema pracy poważnej o Marcelim Mottym, o Garczyńskim, o Wierzbinskim, a monografję o Przybyszewskim przygotowuje Stanisław Helsztyński. Podobnie niema jeszcze wyczerpujących prac o szeregu wybitnych uczonych wielkopolskich. Przegląd „talentów" dokonany przez Szyperskiego jest w każdym razie niezmiernie krzepiącym dla Wielkopolan dowodem, że w tworzeniu polskiej kultury bynajmniej nie na szarym stoją końcu. Z dołączonej mapki orjentujemy się, że najwięcej talentów wydała Wielkopolska na linji Inowrocław — Gniezno — Poznań z odnogami ku Wrześni i Szamotułom, t. j. na ziemiach rdzennie polskich.

Stosunki polityczne sprawiły, że wielu dzielnych Wielkopolan działalność swą rozwijać musiało poza Wielkopolską; i tak, Cybulski i Nehring w Wrocławiu, Małecki w Krakowie, Innsbrucku i Lwowie; Kalina, Ćwikliński, Danysz we Lwowie; Plebański, Przyborowski, Struwe i inni w Warszawie; Hulewicz w Wilnie; Morawski, Zimmermann, Kawczyński (romanista) w Krakowie.

Jeśli chodzi o udział współczesnej Wielkopolski w twórczości duchowej Polski — zajmuje Poznańskie miejsce wcale poczesne przed województwami łódzkiem, lubelskiem, tarnopolskiem, śląskiem, pomorskiem, stanisławowskiem, wileńskiem, narówni z warszawskiem i kieleckiem; górują nad Wielkopolską województwo krakowskie, lwowskie i Warszawa sama.

Maleńka (ładnie wydana) ta książeczka uświadomiła nam dużo ciekawych rzeczy, stanowi bodziec do naprawienia rozmaitych zaniedbań, do wyznaczenia twórcom wielkopolskim i ziemi całej należnego miejsca w hierarchji twórczości polskiej. Zasługą Szyperskiego pozostanie, że on pierwszy podjął się tej wdzięcznej ale trudnej pracy rewindykowania praw dla Wielkopolski. Jasny i przejrzysty układ ułatwiają znakomicie orjentację w tej małej encyklopedji twórczości wielkopolskiej. Jako następny tomik Bibljoteki „Wici Wielkopolskich" ukazał się zbiór wierszy Stanisława Czernika pt.

PRZYJAŹŃ Z ZIEMIĄ

Czernik należy do tej niewielkiej grupy entuzjastów szeroko i rozumnie pojętego regjonalizmu, którzy pragną od miłości najbliższej ojcowizny rozpocząć dzieło krzewienia twórczości narodowej. Regjonalizmowi wielkopolskiemu oddał Czernik niejedną już wielką przysługę. On to był pierwszym redaktorem znakomicie się zapowiadającej „Kroniki gostyńskiej", której wydawcą i dzisiejszym redaktorem jest Władysław Szarkowski. Doskonale obeznany ze stanem dzisiejszej poezji zasila regularnie szereg pism znakomitemi artykułami o współczesnej poezji. Od kilkunastu lat czynny, jako profesor, w Wielkopolsce zaaklimatyzował się w Krainie Wielkich Dolin całkowicie.

Na polu twórczości poetyckiej zwrócił Czernik na siebie uwagę, jako laureat konkursu poet. im. Zapolskiej (Lwów, 1923 — Lektor). Wskutek upadku „Lektora" „Drabina do gwiazd" nie została wydrukowana. Część tych wierszy pojawiła się jako „Poezje — Serja I" (D. K. P.—1931). Krytyka podniosła wówczas „siłę wyrazu, dyszącą niesfałszowanemi motywami przyrody okolicznej oraz pierwiastkami plemiennej mitologj". „Nie jest to, — pisze krytyk (St. N.) „inteligenckie chłopomaństwo — ani powierzchowna egzaltacja mieszczucha". — Tomik ten zapowiadał talent pierwszorzędny. W zbiorku następnym („O polskim płocie") — podobnie, jak i w pierwszym, a później w „Przyjaźni z ziemią" — wypowiada Czernik swą fanatyczną miłość ziemi. Ale entuzjazm Czernika nie zapala, nie wywołuje reakcji emocjonalnej. Oto n. p. wiersz, który całemu ostatniemu zbiorkowi nadał tytuł:

Wolanie —
Przyjazne i okrutne.
Niewiadomo, kiedy się stanie.
I co się właściwie stanie.
Ale to wiem:
Ojcowska, rodzicielska miłość,
Przyjaźń bez reszty —
Jak przedtem była
Tak jest.
Łączy się prawo rozstania
Z wieszczym pewnikiem scalenia:
My i ziemia.

Czernik nie znalazł tego bezpośredniego stosunku, jaki łączyć winien twórcę z tworem, z odbiorcą wrażeń. Wiersze są wynikiem procesu myślenia, a nie przeżycia—stąd ich chłód i tego chłodu uczuć nie usuwa piękna forma, dźwięczność wiersza.

O DEBIUCIE KOWALA-POETY

Przegląd ostatnich wydarzeń na niwie literackiej Wielkopolski nie byłby kompletny — gdybym nie wspomniał o

Franciszku Becińskim

Franciszek Beciński — to najautentyczniejszy chłop kujawski, kowal wiejski, samouk, który pierwsze swe kroki „literata" stawiał w inowrocławskim „Dzienniku Kujawskim" i dodatku do „Dziennika" — w „Piaście". Te rozproszone na kartach kilku roczników „Dziennika" wiersze — zebrał Stanisław Waszak, zaopatrzył je przedmową i przy pomocy miejscowych mecenasów i życzliwości Jana Kuglina wydał, jako „Modraki i maki z kujawskich równin".

Beriński wyrósł na kujawskiej wsi, w Pilichowie — niedalcko Płowiec, pasając bydło. Ciotka nauczyła go czytać i pisać — i odiąd lektura staje się jego pasją. Dorósłszy, idzie w naukę do kowala, a wyuczywszy się rzemiosła, zakłada warsztat własny i żeni się. Parę lat po powrocie z frontu, gdzie się dostał do niewoli bolszewickiej, zaczyna pisać i pierwsze jego próby drukuje Dziennik Kujawski, w którym od r. 1927 regularnie się pojawiają proza i poezje Becińskiego. Samej prozy zebraćby można spory tom. Przyglądając się zarówno jego utworom prozaicznym jak i poetycznym zauważymy łatwo, że Beciński walczy z trudnościami, właściwemi wszystkim pisarzom ludowym: pasuje się z językiem, szuka własnego stylu, oscyluje pomiędzy językiem ludowym (gwarą) i literackim. W języku ludowym wypowiada się bezpośrednio, płynnie, bez trudności, opisy są żywe, akcja przemyślana i skoordynowana, kompozycja utworu jasna. Różne braki uwydatniają się w całej pełni, gdy używa języka literackiego. Myśl skrępowana jest szukaniem wyrazu, często zwrot zasłyszany, określenie, podchwycone, słowo wyczytane — zostaje przez autora niezrozumiane, i niewłaściwie użyte zaciemnia sens albo ambarasuje nieporadnością. Drugą szkołą dla rozwoju talentu pisarskiego Becińskiego jest i ta okoliczność, że nie spotkał się dotąd z życzliwą ale poważną i surową krytyką. Żyje w dymie kadzideł.

Głośny jego protektor, p. Stanisław Warszak, szczerze oddany Becińskiemu, bardzo mu życzliwy —nie umiał się jednak zdobyć na spokojną, objektywną ocenę działalności pisarskiej Becińskiego. Dowodem tego wstęp do świeżo wydanego zbioru poezji, rojący się od superlatywów wszelkiego rodzaju. Waszak zestawia Becińskiego jednym tchem z Kasprowiczem i Przybyszewskim (nie porównuje, na szczęście!), mówi o jego „królewskim" talencie, odnajduje w jego twórczości dużo elementów i zalet, których tam zupełnie niema. Takie pochwały zawróciłyby w głowie bardzo tęgiemu talentowi. Pamiętając o tem, że Beciński jest chłopem, samoukiem i t. d. nie możemy rezygnować z pewnych zasadniczych wymagań, jakie się stawia twórczości artystycznej. Samo dobre serce, sam „smętek", same marzenia naiwne na dłuższą metę nikogo nie wzruszą. Są wiersze, w których przejawia się istotny talent, jak np. „Za chlebem" (str. 17), w którym autor plastycznie i przekonywująco maluje nastroje dziecka wsi w fabryce, daleko od swoich. Ładny jest wierszyk p. t. „Zielone strofy (str. 19) świadczący o subtelnem odczuciu przyrody. Ujmujące są te wiersze, w których autor wypowiada swe tęsknoty, marzenia, ukochanie tradycji i uroku kujawskiego krajobrazu, cześć dla zwyczajów ludowych. („Moje marzenia", — „Idą dni", — „Tradycje" i in.).

W sumie jednak wiersze nie wznoszą się ponad poprawną przeciętność. „Modraki i maki" Becińskiego są natomiast interesującym przejawem szerzenia się kultury literackiej, wśród ludu, znakiem budzenia się ludu do twórczości, są rownież potwierdzeniem słuszności założeń regjonalistów, których jednym z punktów programu jest popieranie talentow regjonu, i nieraz wśród kupy plew znajdzie się prawdziwe ziarnko. Takiem ziarnkiem, które obiecuje pełny kłos, zdaje się być twórczość literacka Becińskiego.

Kazimierz Kossobudzki

Nokturn

Nowela

Rzędy drobniutkich literek ukazywały się stopniowo na czystych arkuszach papieru, zapełniając je od góry do dołu myślami, ideami. Pióro zatrzymywało się niezdecydowanie w powietrzu, aby po chwili z tem większą zawziętością opaść na papier. Można było odnieść wrażenie, że myśli wytworzone gorączkową pracą mózgu zbierają się na końcu pióra, wagą swą przyciskają je, zmuszają do dotknięcia papieru i eksplodują, rozsypując się na szereg słów, słówek, powiązanych pojedyńczemi igiełkami spójników:

...że od kilkudziesięciu lat Europa przeżywa coś, co można nazwać zanikiem szczęścia...

...że w ciągu kilkudziesięciu lat, które ubiegły od wielkiej wojny, wzrasta „mit społeczny" o nowej wojnie, któremu nie potrafiła czy też nie chciała zapobiec dyplomacja państw...

...że do nowej wojny, umysły ludzkie wszystkich narodów europejskich przygotowały środki techniczne, przewyższające fantazje z lat powojennych epoki Ligi Narodów...

...że ów „mit społeczny" nowej wojny doprowadzony do absurdu, wdrażany systematycznie we wszystkich członków organizacji państwa, doprowadzić musi, a może już doprowadził do rzucenia pierwszych bomb na miasta...

...że zgromadzeni tu, a tak nieliczni ludzie, którzy oparli się jeszcze tej zbiorowej psychozie, zebrani na ostatnim być może kongresie w St. Dieu sur Marne, łączą się w ostatnim apelu do całej ludzkości, dla której słowo pokój nie jest korelatem słowa wojna, w apelu do opamiętania się...

Słowa padały coraz bardziej przyśpieszone. Pióro nie zatrzymywało się już wcale:

„Wzywam obecnych tu wszystkich członków Kongresu, by przez aklamację przyjęli teksty depesz do prezydentów, parlamentów, monarchów państw Europy i Ameryki, by w ten sposób Kongres dał wyraz swego uczucia dla idei, którą reprezentuje".

Ręka złożyła pióro obok arkusza, i przez chwilę nieruchoma, jakgdyby wypoczywając, zlekka dotknęła grzbietu kota, który leżał obok na książkach i towarzyszył panu swemu podczas pisania. Było to zresztą stałem jego przyzwyczajeniem, sięgającem chwili, gdy pierwszy raz rozwarły mu się ślepka.

Jakgdyby prąd elektryczny przebiegł z palców na grzbiet kota. Być może, resztki natężenia myślowego, nieużyte w słowach, spływały przez rękę w ciało kota, budząc w nim, mocą jakichś tajemnych przemian, ów prąd wyginający mu grzbiet w rozkoszy. I teraz kot śpiewał, mrucząc swą zwykłą piosenkę o lubości, jakiej doznawał w tej chwili, piosenkę o falach, które czuł, że przebiegały mu przez ciało, a które marszczyły skórę jego grzbietu nerwowemi drgawkami.

Człowiek wstał, przeciągnął się. Była późna noc. Jesień. O jakże nie chciało się wyruszać jutro. O, jakżeby wolał siedzieć tak jak teraz, przy swojem ulubionem biurku z jasnego drzewa, mieć przed oczyma swemi bibljotekę z ukochanemi książkami, wśród których centrum zajmowały szare tomy Proust'a i Céline'a, tych zimnych chirurgów burżuazji XIX i XX wieku, rozcinających płaty jej kałduna.

Lecz jechać musiał. On, przewodniczący poprzedniego Kongresu, który taksamo nie przyczynił się do uspokojenia Europy, jak tyle kongresów poprzednich. I ten Kongres w St. Dieu sur Marne nie zapowiada się lepiej. Ale jechać trzeba, jechać trzeba koniecznie, chociażby przyjechać miał sam jeden, chociażby wszyscy mieli zawieść. Jego obowiązkiem, jako sztandarowego członka społeczności, jako profesora uniwersytetu miasta, w którem mieszka, jako profesora „honoris causa" wielu uniwersytetów zachodnio - europejskich i rosyjskich, najbardziej narażonego na ataki za „mdły i nieprowadzący do niczego pacyfizm", jego obowiązkiem było jechać.

*

Hen wysoko, na wysokości iluś tam tysięcy metrów, rozrzedzone powietrze kłębiło, wirowało, by wtłoczyć się siłą pod śmigi samolotów, idących bojowym szykiem w długich linjach; ledwie zdążyło powietrze spłynąć z ostatniej lotki pierwszego samolotu, a już dostawało się w śmigi drugiego, trzeciego, dziesiątego, setnego. Szły górą potężne samoloty bambardujące, prawdziwe fabryki śmierci, wyładowane bombami. Szły jeszcze wyżej przepiękne samoloty myśliwskie, idące zawsze stadem, jak mewy, gdyby mewy mogły na tę wysokość dolatywać. Kreśląc się na niebie linjami bumerangu, same w sobie będąc bumerangami, gotowymi zawsze wrócić na miejsce wzlotu, już samą swą budową uosabiały szybkość.

Ich skrzydła, odchylone ku tyłowi, upodabniały je do olbrzymich strzał, wypuszczonych z olbrzymich łuków, przez niewidzialnych, ukrytych za widnokręgiem wrogów. Wszystko przemawiało za tym obrazem. Jak strzały o wielkich zadrach ciche a chyże wznosiły się samoloty myśliwskie ponad bombardującymi.

Najnowsze, chroniące od hałasu urządzenia, wyprostowywały, wygładzały fale powietrza, rozchodzące się dotychczas od wściekłości wiru śmigieł wzdłuż boków płatowców. Fale te miały nieprzyjemną właściwość rozchodzenia się coraz szerszemi kręgami, aby dojść wreszcie zdradliwie do niespokojnych, wiecznie czyhających uszu ludzkich, tam w dole, o dziesięć kilometrów poniżej. Lecz teraz kraj nieprzyjacielski; aparaty włączone spełniały swe zadanie wzorowo; w odległości dziesięciu metrów nie można było wyczuć, że wogóle się coś porusza. Piloci z podziwem wychylali się, dając sobie radosne znaki rękami, że wynalazek, nad którym roztaczała opiekę Wielka Tajemnica, mająca do pomocy drugi oddział sztabu generalnego, wynalazek, który dopiero w ostatnich miesiącach został masowo zainstalowany we wszystkich eskadrach wojennych, spełnił nadzieje. Dwa tysiące kilometrów przelatanych z „detektorami" (nazwa nadana żartobliwie przez jednego z pilotów i przyjęta wnet przez całą flotę powietrzną) bez najmniejszego defektu, czyż to nie dosyć? Wynalazca może spać spokojnie.

Pod niemi nie było nic. Wokół nich nie było horyzontu, a właściwie horyzont był, ale nie ten nasz ziemski, lecz ten drugi, z chmur. Chmury stały się o pięć kilometrów poniżej, tworząc nową mapę ziemi o fantastycznych zarysach kontynentów i oceanów. Chmury otaczały miasto gęstą zasłoną, wisząc nad niem ciężko i mokro, jakby chcąc je chronić. Lecz tych tam w górze nie chmury nie obchodziły; nie patrzyli na nie, nie szukali w nich dziur, by spojrzeć i sprawdzić kierunek.

Adolf Nowaczyński

Białe, czarne i brudne

TRZEBA SIĘ WYKŁÓCIĆ

Trzeba będzie wykłócić się tu tym razem z recenzentami dwóch pism, z których w jednem pisuję się stale, a w drugiem przygodnie. Mniej bowiem zawinił tu autor książki inkryminowanej, ile zawinili niedźwiedziemi przysługami (pas de lours) krytycy, którzy niewczesnym entuzjazmem prowokują także ostrzejsze akcenty wobec książki.

Sprawa jest taka.

Kiedy kilka lat temu świetny podróżnik polski (poważnie traktowany w trzydziestu sześciu krajach świata, a w własnym karmiony docinkami i dowcipkami) wybierał się na filmową ekspedycję do Afryki, zgłosił się do niego w Paryżu młody rodak, który jakiś czas (ożeniony z Amerykanką) mieszkał sobie w Ameryce, a wonczas w Paryżu jako rozbitek życiowy szukał jakiegoś zajęcia, posady, miejsca. Posiadał język angielski i francuski. Ossendowski zaproponował tedy p. Giżyckiemu miejsce operatora filmowego przy sobie

Pan Giżycki z ochotą oczywiście zgodził się na to i wziął udział w wyprawie. Niestety jednak ani zdrowie, ani szybko nabyta umiejętność filmowania nie dopisały p. Giżyckiemu. Wybór operatora okazał się nietrafny. Film się nie udał, a dużo pieniędzy poszło na marne. Pan Giżycki wrócił potem do Paryża i tu dzięki pozawieranym znajomościom i stosunkom dostał jakąś posadę we francuskiej administracji kolonjalnej, gdzie przepędził w którymś z miasteczek zachodniej Afryki dwa lata. Owocem tego pobytu wśród kolonji francuskiej i przebywania stałego w towarzystwie urzędników kolonjalnych. jest właśnie ta książka o „Białem i Czarnem".

FABRYKACJA STANLEYA

I oto co z tego, zresztą bezpretensjonalnego autora całkiem poprawnego, ale przeciętnego pamiętnika afrykańskiego robią na poczekaniu krajowe nadwiślańskie ignoranty...

W tej samej erze. w której Polacy dostają się pod biegun północny. kiedy wspinają się na Andy. kiedy na Pamir dostaje się wątła Polska, kiedy Bohomolec przepłynął w żaglówce Ocean, Janta Połczyński zagląda w zapadłe kąty Sachalinu, kiedy Goetel zapuszcza się w jednym roku w głęb Indyj, w drugim roku w wnętrze Islandji, kiedy Polacy wogóle przestali wreszcie być jakimś narodem z prześmierdli, zasiedziałym na swojem wielkiem podwórzu, a dzielnie i zdobywczo wałęsają się po całym globie... w tej samej erze przyjacielskie scrybifaksy ni stąd ni zowąd nagle z pana Giżyckiego, który m i e s z k a ł w Ameryce. a potem m i e s z k a ł w Afryce, robią jakiegoś Stanleya, Liwingstona, Gerbaulta i Kischa równocześnie.

Czego to nie wypisują swojskie szczurki lądowe o tym zaskoczonym i chyba zażenowanym takimi egzaltacjami i palpitacjami biednym panu Giżyckim! A to, że zaraz „zagończyk", „człowiek wielkiego gościńca", „człowiek wolnych przestrzeni, któremu „żaden kontyngent nie obcy", którego „instynkt włóczęgi rzucał po szerokim świecie". Dla jednego smarowoza p. Giżycki już „zbliża się poglądami do typu reprezentatywnego gentlemana rasy anglosaskiej" a dla drugiego scrybifaxa: „gdyby autor żył w XV-tym wieku, zostałby niewątpliwie konkurentem Kolumba" (dosłownie). Można sobie teraz wyobrazić irytację i niesmak czytającego podobne błazenady o sobie p. Giżyckiego, gentelmana dobrej rasy i klasy, któremu udało się napisać wielce ciekawe memuary podróżnicze, ale w najdalszych marzeniach nie pretendującego ani do „konkurencji" z Kolumbem (czy z Vasco de Gama). ani do stanowisko rzeczoznawcy i autorytetu w sprawach afrykańskich kolonjalno - politycznych, a specjalnie murzyńskich.

PRAWEM MIMICRY

Mając dużo czasu wolnego, pewien talent w pisaniu, garść obserwacyj i refleksyj, a dużo rozgoryczeń i pretensyj do francuskiej biurokracji i administracji kolonjalnej, zachęcany przez znajomków, napisał sobie bezpretensjonalnie szereg feljetonów w myśl zasady: „Nie święci garnki lepią". Niestety, sfinansować to się dało tylko przy pomocy dziennika, dysponującego bieżącą gotówką. W miarę pisania tych wspominek, g e n i u s l o c i zaciążył i na generalnej tendencji i na „światopoglądzie" dotychczas raczej ku nacjonalizmowi inklinującego „podróżnika". Niebłagane p r a w o m i m i c r y zaakkomodowało i przystowało naszego „afrykandera" do panującej i obowiązującej w „Porannia..u" awersji i idio-synkrazji do Kościoła i cywilizacji rzymsko - katolickiej. Z jednej przelotnej może uwagi a propos ojców misjonarzy sprytna a w porę instrukcja zajadłego antypapisty, sanatora, a wnet senatora Rzymowskiego, zasugestjonowała cały kierunek, cały sos antyklerykalny tych poczętych zapewne objektywnie i neutralnie wspominków p. Giżyckiego. Taki s o s, ulubiony w barach i jadłodajniach przy ul. Marszałkowskiej (dziś już raczej Marszelikowej) przypadł do gustu menerom i macherom z „Poranniaka", no, i widocznie właśnie niektórym recenzentom i to równocześnie z „Wiadomości Literackich" i nadspodziewanie z... „Myśli Narodowej".

KLERK Z I. K. C.

W „Wiadomościach" pozwolono rozpisać się na temat, poruszony w książce p. Giżyckiego jakiemuś prowincjonalnemu „Klerkowi", zdaje się z Krakowskiej T a m m a n y - H a l l, to jest z „I. Kaca". W erze listów i kazań kardynała Faulhabera i imponująco odważnej opozycji niemieckiego Centrum katolickiego w Niemczech i akcji episkopatu amerykańskiego przeciw pewnym (zresztą przejściowym) nadużyciom hitleryzmu, uważano za wskazane, celowe i taktycznie mądre puszczenie na arenę jakiegoś chłoptasa krakowskiego, aby popisał się przed żydami wprost z bezecnemi i bezczelnemi napaściami na Kościół Katolicki, i na to, co w Nim może najpiękniejszego, najwznioślejszego, najczystszego, najofiarniejszego, najbardziej szacunku i czci godnego, to jest na ideę misyjną. Osobnik z IKaca ani przygotowany, ani predestynowany do tej bezprzykładnie plugawej napaści stanowczo nie był. Zdaje się, że jako literata legitymuje się tylko jakiemś erotomańsko - pornograficznem powieścidłem, które nie wygrało dla siebie nawet terna sukcesu skandalu. Poza krakowską parafją pies z kulawą nogą tego „tomu" nie obwąchał i nie uszlachetnił. Młodzian zdecydował się więc znów herestrategicznie zwrócić na siebie uwagę Izra - Elity intelektualnej godnym kannibalów wypadem na chrześcijańskich misjonarzy. Pretekst i okazję dały mu przygodne effuzje „Afrykandera", dostosowane do poziomu europejskości Wielopolsko - Rzymowskiego.

Aby tej brukowo - ulicznej napaści obstalowanej nadać jakie takie pozory powagi, młodzian cytuje nawet kilka „autorytetów" anglosaskich protestanckich i anglikańskich, babtystoskich omal, że nie kwakierskich, czy mormońskich, w każdym razie na globie ziemskim z Misjami Katolickimi konkurencyjnych. Pojęcia o tem wszystkiem ignorant z Abdery nie ma literalnie minimalnego. Pierwszy raz tknął się tego tematu, ale referuje i feruje swoje widzimisiaki jakby dziesięć lat podróżował po świecie, a drugie dziesięć pracował w „F o r e i g n O f f i c e", a trzecie dziesięć w „C o l l e g i u m d e P r o p a g a n d a f i d e", a czwarte dziesięć wykładał albo w „Orientalnej Akademji" albo w Sorbonie. Laureat Instytutu „Ikaca" pisze sobie naprzykład z całym spokojem:

„Warte też zanotowania, że różne kraje egzotyczne uprawiają zdecydowaną politykę antymisyjną, tak jest w Japonji (sic!), tak postępuje (!) Afganistan".

Polemizować z takim rzeczoznawcą Japonji karjerkowatym oczywiście nie byłoby żadnego celu i sensu. Wystarczy dla poduczenia polecić nieukowi przeczytanie kilkunastu takich, a takich tomów i tomików w obcych jęzorach, a w swojskim wyd[...]nictwie... „Rycerza Ni[...]anej" aby z tego się wywiedział, że pod Warszawą drukuje się japońskie kalendarze, a tam istnieje obok setek innych misyj i duża polska. Czemu przedtem nie wziął do ręki prof. St. Bystronia a u t e n t y c z n e g o p o d r ó ż n i k a (z Krakowa, z Krakowa!) wojaże po ziemiach Kabylów, Numidów, Beduinów, Mozambah od Algieru aż po Saharę? O n a s z e j podróżniczce autentycznej, pannie Luli Ciechanowieckiej czy kiedy słyszał? Czy miał kiedy jej gruby tom w łapskach? A co to pisał Krakowiaczek ci ja, rowerem po Afryce jeżdżący Kazimierz Nowak, czy wie czy nie wie?

„Jedynie wysepki misyjnych placówek nie przeżywają kryzysu afrykańskiego. Zwłaszcza w Kongo Belgijskiem, gdzie całą opieką murzyna jest misjonarz i on go uczy pracować, uprawiać rolę, leczy przeliczne choroby, które go dziesiątkują, daje mu światło wiary. Zwiedziłem w Katunga jedną z najważniejszych placówek, siedzibę prefekta apostolskiego Kafubu. Szkoła rzemiosł i wzorowa farma zwana Don Bosco pokryta szmaragdem ogrodów, tam gdzie przed 7 laty sterczały olbrzymie budowle termitów, a w ich cieniu drzemały przeliczne lwy. Przyszli Salezjanie stał się cud! Ożyła puszcza, zadźwięczały kilofy, sprowadzono wodę z niedalekiej rzeki. Powstało miasto ogrodów, gdzie pracę znalazło setki ludzi".

Tak pisze e x a u t o p s i s krakowianin jeden.

AD USUM IZRAELI

A jak pisze pan Zbigniew Grabowski, wychowaniec posła dr. Marjana Dąbrowskiego (Tajny Detektyw) a raczej co z książki Giżyckiego a d u s u m I z r a e l i wyciąga a jeszcze raczej co panu Giżyckiemu na benefis Wielopolski — Rzymowskiej opowiadał tam w Afryce jakiś kupiec t r a d e r, a więc widocznie Anglik (nie Francuz):

„Jak my traderzy możemy się tu utrzymać, gdy misjonarze robią nam nielojalną konkurencję. Ja europejskim mechanikom w mojej sortowni bawełny muszę płacić po kilka tysięcy franków miesięcznie, a misja posługuje się braciszkami, którzy pobierają 5 franków dziennie. W niektórych kolonjach misje, wychowujące w swych internatach murzyńskie dziewczęta, mają niemiły i niepolityczny zwyczaj żądania za nie okupu od pragnących je pojąć za żony tubylców. W rezultacie przyjęło się powiedzenie że misjonarze handlują dziewczętami".

Tak mówił niby to ten t r a d e r kupiec, jak widać z tego kanalja i n g r a n d o f o r m a t o, jedna z takich szujów białoeuropejskich, których opisuje André Gide w swojem oskarżycielskiem „Congo".

Opierając się na wywodach takiej kanalji nad kanaljami, p. Giżycki, który rzekomo „przemierzył wiele kilometrów afrykańskich szlaków" (?) dochodzi do bardzo smętnych wniosków:

„Dawno minęły te czasy, kiedy to absolutnie bezinteresowny misjonarz narażający się na wielkie niebezpieczeństwa i znoszący n i e r a z nieludzkie prawie trudy posiadał w kolonjach ogromny prestiż. Szacunek, jakim cieszyli się misjonarze u białych i czarnych elementów kolonjalnych, spada w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do wzrostu u momperów czyli mójojców łakomstwa na franki i t. p.".

Otóż to zdanko, ten passus jest i głupi i niecny, bezdennie niecny i kompletnie głupi. Puszczony lekko ot tak a d c a p t a n d a m b e n e v o l e n t i a m „synów wdowy" i masońskiej hałastry wielkomiejskiej i chamskiej. Autor albo świadomie albo nieświadomie mija się z prawdą. Bez przemieszkania w jednem mieście amerykańskiem i w drugiem mieście afrykańskiem, siedząc tu na miejscu w Warszawie, informujemy niniejszem pana Giżyckiego, że kto jak kto, ale misjonarze więcej jak mitry i infuły cieszą się dzisiaj, teraz! właśnie teraz, na całym globie, u wszystkich ras (i kolorowych) wzrastającym mirem i szacunkiem. Pan Giżycki opiera swe konstrukcje myślowe widocznie na jakimś tam wyjątku, na jakiejś parszywej owcy, na jakimś „momperze", który widocznie zanadto wdawał się z żydami (t r a d e r a m i), z wykolejeńcami europejskimi i od nich zaraził gorączką złota (a u r i s a c r a f a m e s). Dla monperów - misjonarzy mają najgłębszy szacunek wszystkie rządy europejskie i wszystkie plemiona kolorowe.

BOHATERZY MISYJNI

Teraz w lipcu Francja po 80 latach od czasu Combestji oddała Trapistom klasztor na stokach Atlasu. Teraz w lipcu odbyły się w Ugandzie uroczystości jubileuszowe po trzydziestu sześciu latach pracy misjonarskiej monsignora wikarjusza Streichera, który nawrócił przeszło 260.000 murzynów i zostawia po sobie setki szkół i 200 zakonników murzyńskich.

W czerwcu gościli w Rzymie „Biskupi Bieguna Północnego", ksiądz Fallaize i ksiądz Turquetil, którzy kilkadziesiąt lat przebywają u Eskimosów nad Hudsonem, tam gdzie mróz dochodzi do 70 stopni i tam nawracają do chrześcijaństwa. Psy, renifery i foki są z najgłębszym szacunkiem i czcią dla tych ludzi, a tylko zatyła hiena masońska gotowa jest szkalować nawet takich abnegatów i apostołów.

W Hong-Kongu w czerwcu eksplodował zbiornik gazowy. Trzynaście domów chińskich uległo zniszczeniu, ludzie w panice piekielnej uciekali. W akcji ratunkowej odznaczyli się ojcowie (moupery) Salezjanie i Polak ze Śląska, rektor kościoła świętego Antoniego, Ojciec Wieczorek, o czem prasa chińska i amerykańska pisały.

Jak to pięknie o misjach katolickich w Indjach pisał w swej świetnej książce Goetel i jak wzruszające są te wizyty p r a w d z i w e g o p o d r ó ż n i k a zagończyka, globtrottera i zarazem doskonałego pisarza Janty Połczyńskiego, wizyty na Sachalinie i spotkania z Ojcem Zacharjaszem i Ojcem Piotrowskim („Gazeta Polska" z 9-go i z 14-go lipca).

Takich przykładów i kontrargumentów możnaby przytoczyć nieskończoność i opłaciłoby się, gdyby to trafiało do łbów i łepetyn mrowia, co czyta szmaty i ściery judolizów. Przed habitem i przed brodą misyjnych zakonników uchylają kapelusze nawet ministry paryskie, nawet giełdziarze londyńskie. Niedawno doktoryzował się żurnalista z J o u r n a l d e s D é b a t s pracą o misjonarzu polskim w Chinach, Michale Boymie (1658). Nawet żydłaki z Kremla nie mogąc o misjach i misjonarzach mówić ani źle ani dobrze wolą przemilczeć.

BEZPRZYKŁADNE ŚWIŃSTWO

A ten tam z Krakowa z I. K. C., recenzent z książki p. Giżyckiego, pisze sobie (a łapa nie zadrży):

„Te wychowanki misyjne spaczone w swych pojęciach i gustach typowe deracinees stanowią (sic) potem najgorszy element. Jak pisze autor reportażu „Biali i Czarni", cała nieraz klasa prostytutek rekrutuje się w pewnych okręgach z wychowanek misyjnych".

I oto znów polski rekord!

Tak bezprzykładnego świństwa i tak świńskiej kalumnji nie napisano w żadnym języku! Nawet taki gnojowiec jak Celine jednak możeby się zawahał. Nawet żydowscy handlarze murzynek z Marakesz jednakby się jeszcze przedtem namyślili. A ci nie! Polski rekord!

Toteż jeszcze więcej od koprolalji w „Wiadomościach" dziwi i zdumiewa w... „Myśli Narodowej"... taki ustęp recenzencki:

„Równocześnie uderza wstrzemięźliwość (sic) autora w opisywaniu własnych przygód i różnych niezwykłości, których z reguły czytelnik skontrolować nie jest w stanie. Z uwagi na fakt, że na teren Afryki wprowadził Giżyckiego ponoć Osendowski stwierdzić trzeba wybitną odporność uczucia wobec ustalonych przez mistrza fantazji".

Mój panie! Jakie tam były „fantazje" mistrza Ossendowskiego, to tam były. Nie nam warszawistom o tem wyrokować. W każdym razie nawet w ataku gorączki malarycznej czy pokąsany przez wściekłe moskity, czy wypiwszy flakon meksykańskiego peyotlu, nie byłby Ossendowski nigdy i za żadne pieniądze świata napisał o misjonarzach, jako handlarzach żywym towarem. Takiej fantazji mieć by nie umiał. Na toby się nie zdobył.

Co prawda, gdyby żył w XV wieku teżby z Kolumbem nie potrafił „konkurować".

Dosyć. Wystarczy!

Ich nic nie obchodziło. Obserwatorzy, siedzący przy bombach, widzieli przed sobą mapy rozwijające się atuomatycznie, z precyzyjnemi nitkami pajęczyny, których przecięcie się nad jakimś punktem, oznaczało śmierć dla tych, tam w dole. Lecz daleko jeszcze, gdzieś na skraju mapy leży ten punkt, zwany miastem, który automatycznie podsuwać się będzie ku środkowi, aż poćwiartowany zostanie nitką pajęczą. Wystarczy wtedy pociągnąć lewarki i... dla jednych wszystko się zacznie... dla drugich wszystko się skończy.

Obserwator niecierpliwie spojrzał na zegarek. Trzecia godzina. Noc. Osiem godzin temu już wycieli; dziesięć godzin temu zostali poderwani rozkazem stawienia się w kompletnem umundurowaniu pilockiem przed hangarami. Pochodnie. Nastrój. Cichutki zrazu, głośniejący wciąż sygnał trąbek samochodowych. Głos komendy:

— Baaczność! Wprawoo patrz!

Powitania, prezentacja i potem zaraz On, szary, niepozorny człowieczek, znany mu tylko z fotografij, umieszczonych na pierwszych stronach dzienników, swoim cudownym, modulowanym głosem wezwał ich do spełnienia obowiązku. Obowiązku, w którym wzrastali od dzieciństwa, w imieniu którego, ośmioletniemi brzdącami będąc, uczyli się wciskać na swe głowiny maski; dla którego uczyli się rzucać najpierw kamieniem, potem piłką, a wreszcie granatem. I ten głos, spoczątku cichy i spokojny, pozwalał myśleć każdemu z nich o swojej żonie, matce, kochance, osobie czy przedmiocie, który w danej chwili miłowali. Lecz powoli, brzmienie głosu potężniało, wżerało się w mózg, zasłaniało bicie serca, wzniecało... Entuzjazm Czynu.

Cichy trzask oficerskich, amatorskich aparacików (skonfiskowano potem wszystkie zdjęcia), utrwalał na kliszach wydłużone szeregi lotników w skórach, przypominających pradawnych braci — jaskiniowców. Tyle tylko, że technika poszła naprzód, ludzie nauczyli się obczyszczać skórę z szerści i polerować ją do błysku.

I znowu cichnące odgłosy trąbek samochodowych. I cisza. Ale w myślach nie było już żon, matek, kochanek, nie było już nawet wspomnień z ranka dnia wczorajszego. W myślach był teraz tylko jeden wspólny — Entuzjazm Czynu.

Spojrzał na zegarek. Godzina, w której powinni zawisnąć nad miastem, zbliżała się. Spojrzał na mapę. Punkt zbliżał się do środka z automatyczną dokładnością, dochodzącą do którychś tam części milimetra na minutę. Do przecięcia się z nitkami brakowało dwóch, najwyżej trzech milimetrów. Obserwator wychylił się przez okienko i spojrzał w dół.

Ciche, groźne leżały w poświacie księżyca wierzchołki chmur, rozlewających się gdzieniegdzie w mgliste morze mleka. Zdenerwowany ziewnął i poprawił słuchawki na głowie. W tej chwili doszedł jego uszu głos kapitana eskadry, lecącego w pierwszej trójce samolotów:

— Uwaga, uwaga! Samoloty o numerach nieparzystych rozpoczynają atak bombami gazowemi YKR punktualnie o godzinie piątej minut cztery. Uwaga, uwaga! Samoloty o numerach nieparzystych rozpoczynają atak oombami gazowemi YKR punktualnie o godzinie piątej minut cztery.

Jeszcze raz spojrzał na zegarek. Była godzina 5. Samolot jego nosił na skrzydłach dumnie numer 7. Dolatywali.

Nerwowo ziewnął poraz drugi. Na dalsze ziewanie czasu nie było; poprawił się na siedzeniu i zrobił próbę uchwytu lewarków tkwiących po jego prawej stronie. O niczem już nie myślał. Tylko wzrok jego przeskakiwał wraz z sekundomierzem z sekundy na sekundę. Rozpoczął doznawać rozkoszy czekania. Sekundy zaczęły mu przedłużać się do minut; nerwami zaczął wyczuwać dziesiąte, nieledwie setne części sekundy. Ostatnia — była wieki[...].

Szarpnął lewarkiem — rraz — odetchnął, szarpnął drugim lewarkiem — dwaa, i wciągnął głęboko powietrze; był spokojny, jak w chwili odlotu.

Spod samolotów oderwały się podłużne, wrzecionowego kształtu przedmioty i w rozrzedzonem, nie mogącem wytworzyć nawet świstu powietrzu leciały w dół zupełnie poziomo. Przeszedłszy w szaleńczy pęd o parę kilometrów poniżej, zaczęły, przynaglone wzrastającym oporem powietrza przybierać pozycję ukośną, tworząc jakgdyby potworną szczotkę czy zgrzebło o setkach kolców. Wreszcie nie pędem, a jakimś mglistym wirem dosięgły warstwy chmur, by dziurawiąc je nawylot, przedostać się na drugą stronę. Gęsta dla oka warstwa chmur nie stanowiła najmniejszej przeszkody dla tych ciał wyniesionych w górę mocą genjuszu ludzkiego i strąconych w otchłań mocą przeznaczenia.

Tak wrzynały się w chmury jeden po drugim, całe pułki bomb tysiące ton żelaza, otaczającego zdławiony pod ciśnieniem gaz; szły tak jedne za drugiemi, jak iść musiały na wątłe okopy Zbaraża dziesiątki i setki pułków ścielących się tysiącem ciał ludzkich pod morderczym ogniem książęcych regimentów; jak tam, tak i tu ludzie i przedmioty rwały się w pasji niszczenia i jak tam, tak i tu nie było dla nich drogi powrotu.

Obserwator uchwycił spojrzeniem położenie wskazówek — godzina piąta minut cztery, sekundomierz prześlizgnął się po dziesiątej sekundzie. Spokojnie zanotował w dzienniku: „Samolot Nr. 7 wyrzucił dwie bomby YKR o godz. 5 minut 4".

•

Profesor spojrzał na zegar, bo nie liczył jego uderzeń, których ostatni dźwięk rozpływał się jeszcze w zakamarkach pokoju. Była piąta rano. Znużonym krokiem przeszedł się po pokoju i zatrzymał przy wysokiem oknie, wychodzącem na tarasik, skąd tylko parę schodków prowadziło do ogródka przed domem, a stamtąd na uliczkę.

Przytknął czoło do szyby, która wnet pokryła się perlistym matem. Patrzał wzdłuż ulicy ciemnej, gdzieniegdzie tylko oświetlonej latarniami, poprzykrywanem od góry specjalnemi ochraniaczami; takie same ochraniacze dawały się zauważyć na latarkach w bramach domów. Podniósł wzrok do góry i wzruszył ramionami:

— Ludzie warjują — pomyślał — przy takiej pogodzie obawiać się ataków lotniczych i samemu urządzać ćwiczenia. Prawda — zastanowił się nagle — przecież na ósmą znowu są zapowiedziane ćwiczenia lotnicze i gazowe; trzeba będzie wyjechać wcześniej na dworzec, jeśli nie chcę się spóźnić na ekspress do Bruksselli. Pojadę o wpół do siódmej — zdecydował już w myśli.

Mimo to stał i patrzał wciąż przed siebie. Dziwna martwota ciążyła nad nim i nad miastem. Erekcja duchowa, jakiej doznawał zawsze przy pisaniu, odbijała się na nim zaraz potem. Tak i teraz, po napisaniu swego przemówienia kongresowego, odczuwał zmęczenie.

— Jakie to dziwne — myślał — jak podobne jest to nagłe natężenie woli i to natchnienie, które nachodzi pisarza w czasie pisania, do tego poczucia szalonej siły fizycznej, odczuwanej przez nas w momencie łączenia się z kobietą; i jak podobne są do siebie objawy wstrętu i niechęci po wyładowaniu fizycznem i psychicznem. W tej chwili pomyślał ze wstrętem o kartkach, leżących na

Wincenty Stojek

Antek

Wzdłuż głębokiego jaru, wydudłanego przez hyży prąd spływających wód, rozłożyła się wygodnie wieś — Garbów. Rozdrzymane długą martwotą chałupy powłaziły se do połowy swych szarokości w grąby lepkich i twardych glinek i zdawały się nie słuchać, ani nawet zważać na to wszystko, co się wokoło nich na bożym świecie działo. A jakby chcące do reszty schować swe istnienie przed światem, przyodziały się tęgim kożuchem drzew i krzewów tak, że jeno cienkie smugi dymów, wydobywające się z tych zarośli, kazały domyślać się, że tam gdzieś, w tym zwale zieleniny znajdują się osiedla wiejskie, zamieszkałe przez żywych ludzi.

Mieszkańcy tego zapiecka, wtuleni swą duszą w dziwaczny splot natury, tworzyli z nią prawie niczem nie wyróżniającą się jedność. Byt bowiem wszystkich żywiołów, nazwanych przyrodą, w końcowem swem przeznaczeniu zbiegał i nadal spotyka się w jednym punkcie z celowością życia ziemskiego, garbowskiego chłopa. Świat przyrody, rozdygotany żywiołowym pędem zniszczenia, brutalny, niewdzięczny, a równocześnie pełen pysznych bogactw, zostaje przemocą ujarzmiany przez człowieka i okradany. Chłop? — ten uparciuch okropny, kieby jakaś skała granitowa, spokojny i cichy kiej poranek majowy, z niezwykłą zawziętością i wytrwałością wdziera się mocarnemi rękami w rozmokłą glinę, by wyrwać z jej wnętrza tajemnice życia i przemienić w szczęście powszechne — chleb. Sam coś brudny, skołatany głodem i wynędzniały, rzuca swoje zmęczone kościska na rozpaprany barłóg, gdy ziemie noc omota, a świtaniem zrywa się znów na nogi, by na nowo pojedynkować się z życiem.

Przechodziły tak pokolenia po pokoleniach, ba, całe wieki były świadkami tego jarmolenia się chłopskiego. Wiatr hulał po polach, oblatywał szerokie przestrzenie i znowuż wracał do wsi. Po tej wędrówce przynosił z sobą coraz to nowsze myśli, nieznane przed tem ideje i tęsknoty przyodziewające świat w nowe stroje. Chłop garbowski, zbuntowany tymi wstrząsami, począł się prężyć i szamotać wewnętrznie; jakiś dynamit znajdujący się w skrytych tajnikach jego duszy eksplodował, i wywalił szeroką dziurę w jego wyobraźni, po przez którą ujrzał blade zarzewie dnia.

Wiosna rozpanoszyła się już na dobre. War słoneczny, kieby magnes przyciągał wszystek naród do siebie. Na drogach, po zapłociach i we wszystkich próżnych obejściach zawrzało nikiej w ulu pszczelim. Rozczochrane dzieciska uwijały się żywo przy pieczeniu placków z błota na drodze; baby głośnym jazgotem języków wygarniały se resztki żalu, których powstał sporośny huk, w czasie zimowych obmówek. Gospodarze znów co stateczniejsi pozbierali się w większe kupy i rozprawiali, jak zresztą na gospodarzy przystoi, to o robotach w polu, inni o statkach rolnych, które do spółki zamierzali kupić, a jeszcze inni politykowaniem się zajmowali.

— Wiecie, kumie Mateuszu, co jo wom powiadom, że się źle dzieje nom chłopom, na tem bożem świecie. Haruj dzień i noc a z tego nic, chudźbyś se ręce po łochcie pourobił, wszyćko na nic.

— Juścik, że tak, mój Macieju. Comonie. Ino mnie się zdaje, co juz tak musi być.

— Co wy tam bajdużycie, mój kumie, tak niby jest, ale tak wciąż nie bedziewa bidować.

— Godocie tyz. A coć to my na to poradziewa? Kiedy to widać wola boska.

— Co mo być wolo bosko, ino ludzką ci una jest. To te juchtra pany wszyćkiemu winny. Ucone to, trzyma się kupy, a chociaż jest ich mało, umią oszukać głupiego chłopa, wałęsającego się w pojedynkę. Powiadom wom, kumie, zebyśwa się my chłopy do kupy wzieni i nose dzieciska wyucyli w skcłach, toby się zoroz zminiło na lepsze. Nie dalibyśwa się za nos wodzić.

— Juścik, juścik, świętą prawde godocie mój kumie. Trza co tchu o tem pomyślić.

Takie to przemyślunki snuły się po chłopskich głowach, przed parunastu latami. I nie poszły ci one na wiatr. Chłop jak się na co uweźmie, to żeby nie wiem co, a dokonać musi. Choć wprawdzie upłynęło ładnych parę lat i charówka kosztowało co nie miara, ale jednak dzisiaj Garbów ma się czem pochwalić. Sława jego po całym świecie się porozchodziła. Bo przecież chmara profesorów adwokatów, inżynierów i innego nie mniej uczonego luda z Garbowa na świat się wywaliło. Nawet i sami chłopi we wsi nie mitrężyli czasu. Dom ludowy, kasa oszczędnościowa i inne różne budynki czerwonemi dachówkami wieś przystroiły.

Tak czas zrobił swoje. Przez ten dość krótko trwający okres do dzisiaj, dużo odmian się narobiło. Tylko wprost uwierzyć się nie daje, iż w samym Garbowie nic się nie zmieniło. Chałupy, jak niegdyś, tak i nadal słomianemi ścianami pysznią się w słońcu, może jeno od starości krzywsze miny porobiły. Bezład w obejściach naspółkę z brudem panoszą się jakby nigdy nic. Pustka myślowa szerokich mas panuje se nadal, nikiejby jej się to słusznie należało. Wszystkie budynki, co to dla spólnych dobrości poświęcić się miały, stoją sobie smutniutkie, kieby stary grzyb w lesie, którego nikt nawet dotknąć się nie chce. No i bieda wywija sobie różne obertasy z chłopami na całą parę. Niby inaczej — ale gdzietam, wszystko po staremu...

* * *

Antek był dzisiaj tak szczęśliwy, jak gdyby się drugi raz na świat urodził. Tydzień temu, uroczystem nadaniem otrzymał tytuł naukowy doktora praw, teraz znów wręczono mu zawiadomienie o jego nominacji na dyrektora urzędu, w którym od trzech lat pracował i o sześciotygodniowym urlopie wypoczynkowym. Bez namysłu postanowił natychmiast opuścić Warszawę i jechać gdzieś odpocząć. Ponieważ z gotówką czuł się niezgorzej, więc też nie myśląc długo zawyrokował: „Jadę do Paryża i tam doskonale spędzę czas".

Do chwili odjazdu dzieliło go już tylko trzy dni czasu. Zniecierpliwienie wezbrało się w Antku i zaczęło mu wydłużać czas. Chciał przecież jednym tchem opuścić Warszawę, a tu te wszystkie formalności związane z wyjazdem zagranicę, zajęły mu tyle czasu, że nowa zwłoka wezbrała w Antku zdenerwowaniem. „Co ja będę robił przez te trzy dni"— zapytywał sam siebie. Dalsze rozważania przypomniały Antkowi rodziców, z którymi nie widział się już cztery lata. „Możeby warto skorzystać z wolnego czasu i zamiast tu zdychać z nudów, jechać do Garbowa i odwiedzić rodziców, znajomych" — zapytał sam siebie. Myśl ta przypadła mu do gustu: „Świetnie — jadę" — zawyrokował.

Słońce hyżym krokiem złaziło z wysokiego stropu nieba, ku podziemiom, na nocny wypoczynek. Blade jego promienie kąpały się rozkosznie w szeroko rozlanych łanach dojrzewających zbóż i zielonych traw. Złotymi języczkami zdawały się pieścić każdą grudkę ziemi, każdy napotkany na drodze kamyczek. Śmiały się radosnym chichotem w sadach dojrzewających wiśni. Antek spieszący od stacji środkiem garbowskich pól, rozfalowanych ciężkim kłosiwem, był tym niezwykłym widokiem oczarowany. Czerstwy zapach gliny, rozmokłej rosą, napawał go jakimś szałem radosnym. Ogarnął okiem rozległe równiny, uginające się pod ciężarem chlebodajnych roślin i stwierdził, nie wiedząc po raz już który, że ten wszystek przepych i dostatek, którym rozrzutnie szafuje się w mieście, stąd, z tych pól swe soki ożywcze czerpie, że potęga i dobrobyt polski stąd od tych pól się wywodzi.

Porwał walizkę i raźnym krokiem poszedł ku wsi. Pierwsze zabudowania gospodarskie rodzimej wsi, pokulone od starości i niedostatku oraz zmizerowane twarze znajomych ludzi, z których jak z encyklopedji można było czytać o przeżytych utrapieniach i nędzy, rozproszyły Antkowe „złudzenia". Biedota, wyzierająca ciekawem ślepiem z każdego kąta, zdawała się krzyczeć głośno do Antkowej wyobraźni: „Antku, wszystko o czem przed chwilą myślałeś, to złuda, złuda! Przypatrz się wsystkiemu do okoła i powiedz sam, czyż to nie jest złudzeniem tak myśleć?"

W głębi wsi spotkał się Antek z Maciejem z jednym z najstateczniejszych gospodarzy we wsi, a zarazem dobrym swoim przyjacielem z dawnych czasów. Gdy się jeno obaj spotkali, Maciej prosto z mostu zapytał.

— No i cóż cię tak, mój Antku wypędziło do nos z Warsawy?

— Korzystając z chwilowego urlopu, przyjechałem spędzić trochę czasu z rodziną i znajomymi — odpowiedział Antek.

— Hm, hm, a cy ci nie będzie się przykrzyć u nos? Przecież tu nima tyjatrów, kin, ani zodnych wesołości. A nawet i pogodać nie bedzies miał z kiem.

Antkowi widocznie nie podobał się bieg tej rozmowy, bo wykręcił pytaniem.

— Jakżeż tam radzicie sobie w obecnych czasach kryzysowych?

— Marnie. Ze ino człek podołać moze. Powiadom ci, co gorzy kiej za pańscyzny. Ani łacha za co kupić, ani co do gęby włożyć. A tu zokucnik do cna rujnuje za podatki. Jak tak dali potrwo to wsyśćko i nie przydzie znikąd pomoc, to trzo nom z torbami iść!

Antek coś ważył długo w sobie, bo dopiero po dość długiej chwili odrzekł.

— Rzeczywiście jest źle, ale nietylko na wsi. Wszystkim prawie dzisiaj bieda jednakowo doskwiera (skłamał). Ale musimy jakoś przetrwać. Co się zaś tyczy pomocy, na którą się Macieju oglądacie, to nie warto jej się znikąd spodziewać, szczególnie dla wsi. Trzeba żeby wieś sama własnemi rękami lepsze jutro se wykuwała. I to nietylko sama o własnych siłach dźwigać się musi, ale i cały kraj swojemi wartościami zapładniać. Tak, tak, Macieju! Wsi nie czekać, tylko jeszcze innych ratować, bo zmurszeli.

Maciej zdawał się wątpić w to co od Antka usłyszał, gdyż niepewnym głosem zapytał.

— To coś powiedzioł jest nikiej i prowda. Ino, jak my temu wszystkiemu podołomy?

— Jest na to prosty sposób. Trzeba żebyście się zorganizowali, gdyż w pojedynkę nic człowiek dzisiaj nie zrobi. Dopiero w organizacji drogą wzajemnej pomocy i współdziałania: kasy pożyczkowe, mleczarnie — i tu Antek zaczął wyliczać z wielkim rozmachem najrozmaitsze instytucje, które powinny na wsi powstać, chcąc by wieś szczęściem i dobrobytem zakwitła.

— Jak słyse to wy w tej Warsawie galante pomyślunki mota. Ino coś mi się uwidzi, kiejby były niepasowne. Przecie myżeśwa ich już cały huk naorganizowali i stoją pustką. I pocóż jesce nowe robić, kiej tych niemo chto prowadzić?

— To są rzeczy najłatwiejsze — bez namysłu zawyrokował Antek — trzeba żebyście swą młodzież wysyłali do szkół zawodowych i innych, którzyby w tych instytucjach, po swoim powrocie, dla dobra i pożytku wsi pracowali.

Maciej długo kręcił głową, coś pod nosem mamrotał, aż wreszcie zaakcentował.

— Baj baju a będzies w raju. Jak widać to coś za dużo kpis se ze mnie. Cy to ciebie nie obowiązuje i wszyćkich innych, cośta się już ponaucały? Coz za pożytek z wos mowa, he? Posłyśta do miasta panie, a nos nabożnemi radami cęstujcta. Ho, ho, my to na wsi tyz swój rozum mowa. Możebyśta przestały nam radzić tylko a do roboty się wzieny. Możebyśta przestały w pas kłaniać po biurach o posady, a wzieły se za ambit i Polskę i wieś od pól budować. Zamiast juchy butwić po miejskich dziurach, lepiej byśta sie na słońce wyroiły, nowe życie tworzyć, a nie tylko stare odgrzywać. Pan z panem do spółki pracują, a chłop chłopu radziłby ino, ścierwo. A oto roboty to ich nima!

Maciej skończył rozeźlony, splunął siarczyście i poszedł ociężałym krokiem w stronę swego podwórka.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

BECIŃSKI FR.: Modraki i maki. Z kujawskich równin. Wstępem zaopatrzył St. Waszak. 8° str. 55. Poznań 1934. W. Górski i G. Tetzlaw. Zł. 3.00.

BEDNARSKI ST. KS.: A jednak wilfi. Prawda o Legjonie Młodych. Wyd. 8° str. 64. Kraków 1934. Wyd. Księży Jezuitów. Księgarnia św. Wojciecha. Zł. 0,35.

BIEDRZYCKI S., PROF.: O niwelacji i przygotowaniu terenu pod budowę domków z 21 rys. 8° str. 47. Warszawa 1934. Stowarzyszenie Pracowników Księgarskich. Zł. 2.00.

COURTHS-MAHLER J.: Zagadka w jej życiu. Powieść. Przekład E. Solskiej. 8° str. 246. Warszawa 1934. S. Cukrowski. Zł. 6.00

DEPTUŁA WŁ.: Akcja katolicka a chrześcijański ruch robotniczy w Polsce. 8° str. 47. Lublin 1934. Księgarnia św. Wojciecha. Zł. 1.00.

DMOCHOWSKI A. i ZIEMECKI S.: Przyroda nieożywiona. Dla kl. VI szkoły powsz. ze 176 rys. 8° str. 115. Wilno 1934. K. Rutski. Zł. 1.00.

DOBROWIEST B.: Zagadnienie żydowskie. 8° str. 58. Kraków 1934. Księg. Krakowska. Zł. 1.00.

DOROZAŁA T.: Zawiązanie spółki z ograniczoną odpowiedzialnością na podstawie prawa obowiązującego od 1.1.1934. 8° str. 45. Poznań 1934. „Ostoja". Zł. 2.00.

RYAKOWSKI B.: Przyroda żywa dla kl. V szkół powsz. ze 104 rys. 8° str. 132. Warszawa 1934. M. Arct. Zł. 1.10.

DYBOWSKI JAN, DR.: Choroby wątroby i dróg żółciowych. Powiększenie wątroby. Żółtaczka. Rak wątroby. 8° str. 30. Warszawa 1934. Stowarzyszenie Pracowników Księgarskich. Zł. 2.00.

FELIKSIAK S., KOŁODZIEJCZYK J. WERNEROWA J.: Poznawajmy przyrodę. Podręcznik dla kl. VI szkół powsz. z 86 rys. 8° str. 127. Warszawa 1934. M. Arct. Zł. 1.20.

GEBERTOWA G., DR.: Z dziejów starożytnych i wczesnego średniowiecza opowiadania i źródła. Podręcznik do nauki historji dla kl. I gimn. ze 119 rye.i 5 mapami. 8° str. 260. Lwów 1934. Książnica Atlas. Zł. 2.60.

GÓRSKA H.: Chłopcy z ulic miasta. 8° str. 88. Warszawa 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.00.

GRABOWSKI T.: Krytyka literacka w Polsce w epoce realizmu i modernizmu 1863 — 1933. 8° str. 317. Poznań 1934. J. Jachowski. Zł. 10.00.

GRZYWACZ Z.: Ubezpieczenie emerytalne i na wypadek braku pracy pracowników umysłowych w świetle najnowszych przepisów prawnych. 8° str. 81. Lublin 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.00.

HEYST P.: Ostatnia fajka Andrzeja Clair. Powieść sensacyjna. 8° str. 139. Lwów 1934. Zakład Nar. im. Ossolińskich. Zł. 1.20.

IWASZKIEWICZ BOLESŁAW: Geometrja dla kl. II gimn. 8° str. 139. Lwów 1934. Zakład Nar. im. Ossolińskich. Zł. 1.20.

Karłowicz Mieczysław w 25 rocznicę śmierci z 3 ilustr. 8° str. 46. Poznań 1934. W. Górski i G. Tetzlaw. Zł. 3.00.

KAWCZYŃSKI A.: Mężczyźni dokoła Eweliny. Powieść współczesna. 8° str. 255. Poznań 1934. Wydawnictwo Polskie. Zł. 2.50.

KOCZY L.: Polska i Skandynawja za pierwszych Piastów. 8° str. 250. Poznań 1934. J. Jachowski. Zł. 8.00.

NASIELSKI A.: Człowiek z Kimberly. Wielka gra Bernarda Zhika. Powieść. 8° str. 242. Warszawa 1934. S. Cukrowski. Zł. 6.00.

PLUS R. O.: Najświętsza Panna Marja w dziejach Bożych naszej duszy. Tłum. z franc. Krystyna Sarjusz Zaleska. 8° str. 169. Kraków 1934. Wyd. Księży Jezuitów. Zł. 1.40.

TAUBENSCHLAG R., PROF. DR.: Instytucje i historja rzymskiego prawa prywatnego. 8° str. 320. Kraków 1934. Księg. Powszechna. Zł. 12.00.

TOMASZEWSKI T.: Kółka abstynenckie w S. M. P. 8° str. 124. Poznań. „Ostoja". Zł. 1.40.

---

biurku, o słowach i zdaniach, które z rozkoszą przecież obmyślał w trakcie pisania. W tej sekundzie uświadomił sobie tylko, że żyje, i że za niecałe trzy godziny będzie siedział w kołyszącym się wagonie.

Lecz co to?

Skręcił głowę w lewo i kącikiem oka dojrzał niesamowitą rzecz: wielki, bury, ulubiony przez niego kot, cały zjeżony w najwyższym paroksyzmie strachu, z grzbietem wyprężonym do góry, z punktami zielono świecących się oczu, oszalałym susem skacze do drzwi — rraz, bums — zamknięte; drugi raz — na klamkę — zamknięte; trzeci raz — klamka ugina się pod ciężarem jego ciała i kot wypada na korytarz, by zniknąć za zakrętem w konwulsyjnych jakichś skokach.

Lecz nie miał czasu pomyśleć profesor. Niedostrzegalna smuga przemknęła się za oknem i ogień... ogień, przerażający ogień i trzask nie dla uszu ludzkich. Rama i szyba wyginają się łukiem, jakby nadprzyrodzoną siłą zamienione w przezroczystą gumę. Podmuch powietrza, twardszego w tej chwili od skały, wtłacza się do pokoju, porywa ze sobą wszystko, w czem ciało, mózg, wola człowieka, zwanego profesorem, były tylko nieuchwytną cząstką i ze straszliwą energją wali w przeciwległą ścianę.

Ciało profesora zamienia się w żabę rozpłaszczoną na murze celnym podrzutem chłopięcej witki; w okresie czasu — nie wynoszącem nawet setnej części sekundy, dopadają go dziesiątki, setki drobniutkich, rozpalonych igiełek i kawałeczków metalu, ryjąc w niem i w ścianie tajemne korytarzyki, wnet wypełniające się krwią lub gruzem.

Ciało profesora powoli zsuwa się na podłogę, znacząc ścianę drobnemi nitkami krwi, zbierającej się w kropelki i zabawnie ściekającej wężykami na podłogę. W tym momencie poczęły spadać na twarz jego i ubranie kartki papieru, starannie wypełnionego pismem o charakterze bardziej kobiecym jak męskim, które porwane z biurka falą powietrza wionęły pod sufit, by wahliwie spadać pod ścianę.

Jedna z tych kartek legła tuż przed jego głową. Były tam słowa: „Po raz ostatni"... i jeszcze coś tam, czego gasnące oko dojrzeć nie mogło; oko zato dojrzało co innego. Za oknem na wysokości parapeciku otworu okiennego podnosił się w górę siny wałek mgiełki, coraz bardziej się kondensującej, który zwolna, zwolna zaczynał wciekać do pokoju, wypełniając wszystkie najniższe zagłębienia. Widocznie był cięższy od powietrza, i dojrzało jeszcze gasnące oko tę warstwę gazu, pełznącą coraz bliżej i bliżej, dosięgającą wreszcie tej nieszczęśliwej kartki papieru. Litery po zetknięciu z nim wątlały i znikały jedna po drugiej, jak wytarte; w ślad za tem i papier sam wątlał i kruszał i stawał się pyłem.

Aż wreszcie został tylko początek ze słowami: „Po raz ostatni"... — niestety zagłady tych słów oko już dojrzeć nie zdążyło.

Człowiek wyprężył się po raz ostatni — i wzrok jego oczu zamkniętych rozpoczął widzenie nowych, nieznanych światów.

*

Klepsydra jego życia cicho odwróciła się i ten sam piasek — czas zaczął odmierzać niewzruszonym porządkiem rzeczy, nowe jakieś życie, bezszelestnie przesypując się do opróżnionego dopieroco naczyńka.

*

A tam hen, w górze ostatnie lewarki wprowadzone zostały w ruch; samoloty bombardujące z radosnym dygotem dobrze spełnionego obowiązku, nie mając już poco ukrywać swojej osobowości, skierowały się w drogę powrotną. Gdy wtem...

Z mlecznego morza chmur, z wąwozów pomiędzy szczytami, rozświetlonemi pierwszym blaskiem słońca, ukazującego się ponad wszystkiem, rozpoczęły wypryskiwać w górę pojedyńczo, po dwa, po trzy, samoloty obronne; jak psy gończe, z wystawionemi do góry pod wiatr nosami, tak pięły się w górę z motorami zadyszanemi od życiodajnego przypływu benzyny, zagarniając powietrze wciąż wyżej i wyżej swemi śmigłami.

Ukazywały się ze wszystkich zakątków chmur, jak wrony, co zbudzone w nocy przelatującym meteorem, zbierają się dla obrony swych gniazd. Być może, że znikające w chmurach, rozrywające je pasma stali i żelaza zbudziły mieszkańców tych chmurnych jaskiń i dolin, i teraz mieszkańcy ci, skrzyknąwszy się, ruszają kupą w górę.

Jak było tak było, dość, że szły teraz płatowce jeden za drugim i pod drugim, jak liście wirujące, a kręcąc się tajemną mocą od dołu ku górze. Dźwięk motorów rozbrzmiewał zrazu z osobna, każdy na własną nutę, by wreszcie zespolić się w jednym akardzie równych tonów, jak starożytna husarja, która na pięćdziesiąt kroków od głębokich szeregów nieprzyjaciela, łapie nareszcie jeden wspólny akord cwału końskiego i uderza, będąc już jednem ciałem.

Obserwator przeciągnął się. Teraz, gdy było już po wszystkiem, gdy ostatnie bomby zostały strząśnięte z kadłuba... Entuzjazm Czynu powoli bladł, ustępując spowrotem miejsca, zrazu mglistym, później coraz wyraźniejszym zarysom postaci zapomnianych wczoraj, i jednocześnie zjawiał się strach i przemożna chęć ucieczki przed niebezpieczeństwem, idącem od dołu.

— Dlaczego nasze samoloty myśliwskie tkwią ciągle nad nami? Dlaczego nie uderzają? — tłukło mu się niespokojnie po głowie.

Ale cicho było tam w górze i nic nie zwiastowało zmiany. Spojrzał na pierwszą trójkę, skąd miała nadejść decyzja. Lecz pierwszy samolot leciał spokojnie, nie czując utkwionych w sobie spojrzeń wszystkich pilotów, czekających na decyzję; tak czekać musiały przyczajone pod wałem Zbaraża chorągwie, naprężone, gotowe do skoku, wpatrzone w jaśniejącą w świetle pocisków postać księcia, tam gdzieś wysoko, na wale; wpatrzone w buławę złotą, tę błyskawicę jego woli, nie spadającą zygzakiem. Aż wreszcie...

Aż wreszcie wywrócony wolnym ruchem drążków sterowych, błysnął w słońcu lustrem swych skrzydeł, stanął na boku, na sztorc skrzydłem do góry, i przewalając się na grzbiet, jak delfin rozbawiony, co pokazuje swe białe podbrzusze, pierwszy samolot eskadry przechylił się, stracił na szybkości wzdłuż, nabierając szybkości wgłąb. Zapadł się nagle, kołując w korkociągu, jak liść z drzewa urwany nagłem dmuchnięciem wiatru. Za nim, jak na znak buławą przez księcia Jeremiego dany, dwa przyboczne samoloty położyły się posłusznie na prawe skrzydło z sekundową dokładnością. Nie upłynęło pół minuty, a wszystkie eksadry myśliwskie szły już z góry przedśmiertnym korkociągiem.

I tak ciągnęły sobie na spotkanie te dwa wiry, jak liście dwóch bliskich drzew, które nagłemi porywami wiatru dostały się w dwa przeciwstawne prądy powietrza. Prądy te kręcąc liśćmi zbliżają się jednocześnie ku sobie, by ostatecznym, zwycięskim wysiłkiem dokonać połączenia w jednym wielkim, piekielnym tańcu liści, gałązek i kurzu, zwolna opadającego na ziemię.

*

Pierwsze płonące samoloty śmiertelną smugą płomienia i dymu dosięgały ziemi.